

Ciemne ścieżki i jasne polany

W późnej godzinie życia wszystko, co napisał przez parę dziesiątków lat, co spiętrzył dzięki cierpliwej i stałej pracy pióra, określił zwięźle jako próby, etiudy, przymiarki. Jako cienie, kontury kształtów, którym chciał ofiarować szansę kruchego bytu.

Igrając z miarami skromności i dumy, właśnie w duchu Montaigne'a ukazał Jarosław Iwaszkiewicz węzły łączące sztukę życia ze sztuką pisania.

Gdy patrzę na moją dotychczasową działalność pisarską – wyznał poeta we wstępie do *Wierszy zebranych* – właśnie nasuwa mi się słowo od czasów Montaigne'a znane i uświęcone jego wielkością – słowo „próby”. Czy to poezja, czy dramat, czy opowiadanie – wszystko to jest próbą pokazania czytelnikowi piękna życia i przybliżenia mu jego wartości. Wszystko to są próby, nigdy nie mogące się urzeczywistnić, wciąż poczynane na nowo w szyfowym trudzie, coraz bardziej – w zamierzeniu przynajmniej – zbliżające się do jakiejś nieosiągalnej doskonałości. I tu wysiłek w dążeniu ku możliwej precyzji, ku największej prostocie linii, ku pełni – był treścią mego pisania¹.

O symbiozie owych działań świadczą już pierwsze strony Iwaszkiewiczowskiego dziennika. Czym są, jeśli nie próbami – w dwoistym zakresie tego słowa? Chodzi więc o młodzińcze próby życia. O próby wczesnego głosu. O manifestacje wieloimiennego głodu życia. O projekcje marzeń i przyszłych dokonań.

Młody autor dziennika rychło obnaża gotowość do posiadania własnego losu. Od początku staje się jego świadomym tragarzem, choć widnokreśli losu wydać mu się mogły płynne, kapryśne, odległe. Czy zdolność do niesienia takiego losu nie jest – według Tomasza Manna – warunkiem twórczej predestynacji, widomym znakiem wielkości i powołania?

Jak czujnie wsłuchuje się młody Iwaszkiewicz w tętno życia rodzinnego. Jak uparcie skłania ucho ku różnym „klechdom domowym”, by uchylały się przed nim bramy czasu, by czas młodzińca poszerzał się o czas zbiorowy,

¹ J. Iwaszkiewicz, *Wiersze zebrane*, Warszawa 1968.

czas polski. Jak delikatnie sięga poeta w głąb jątrzących, bolesnych ciemności, by słyszeć echa insurekcji, widzieć powstańcze ścieżki, ponawiać dawne wzloty i marzenia.

Jak rzetelnie, śmiało, ufnie, łączy Iwaszkiewicz miłość do świata dookólnego z marzeniem o świecie otwartym, hojnym, świecie Europy, bogatym w formy życia, w fenomeny myśli i sztuki. Ten mieszkaniec prowincji, odległej od wielkich centrów kulturalnych, umie zarazem korzystać z wielu przywilejów, jakie zapewnia prowincja, tak płodna, pełna uroków ziemi, ożywiona przez bujne legendy i zdarzenia dziejowe.

Jego oczy nawykły do otwartych przestrzeni, do jarów i stepów Podola, do ukraińskich rzek, wzgórz, kurhanów, lewad, basztanów. Jego nozdrza, jego oczy na zawsze zachowały zapach i drżenie tamtego powietrza. Będzie je później łączył z wibracjami dźwięków w *Źródle Aretuzy* Karola Szymanowskiego. Będzie myślał o dawnym powietrzu, chłonąc powietrze Sycylii.

Ostatni z wielkich pisarzy, którzy za młodu trawili czas jako nauczyciele prywatni, miał wiele sposobności, by uważnym spojrzeniem rejestrować losy ludzi i losy rzeczy, przeczuwając jakby, że przyjdzie mu ciągle pisać o zagładzie przedmiotów i śmierci ludzi. Domyślał się, że i ludzie, i rzeczy trwać będą przede wszystkim dzięki zasobom jego pamięci, dzięki obrotom wyobraźni. Dzięki lampom jego słów, rozjarzonym po to, by nie wygasła pamięć o dawnych całopaleniach, okrucieństwach, widomych zwyrodnieniach i bezsensach historii.

Widział pulsujące życiem dwory i pałace. Badał ich cisze, zgiełki, wonie, klimaty, charaktery. Wiele razy słyszał śpiew przy domowym fortepianie. Zapamiętał dźwięki muzyczne, pomieszane z zapachem bzu albo jaśminu.

Poznał ogrody i gospodarstwa, stare biblioteki, sędziwe galerie obrazów. Zdarzało się, że czuwał przy nich – w przedostatniej lub ostatniej ich nocy – na zawsze oddając się obowiązkom niespiesznego, dyskretnego, godnego rzecznika, świadka i oskarżyciela.

Gromadził skrzętnie wiedzę o związkach rodzinnych. Z równą uwagą śledził parantele arystokratyczne, znaki splendoru i sławy, co koneksje bardziej skromne, szlachetne dzięki urodzie prostoty i zwyczajności. Żywił szacunek dla genealogii, dla znaczących determinant zawodowych i towarzyskich, choć sam – wiele lat później – przeciwstawiał się takiemu kształtowi człowieczeństwa, jaki wynika rzekomo z upodobań, pasji, z biologiczno-duchowych przesłanek i drogowskazów, ustalonych kiedyś przez dziadów i ojców, strażników tradycji rodzinnej.

Intrygowały go święta i ceremonie. Wabiła soczysta, barwna codzienność ukraińskiego roku. Bieg zdarzeń rodzinnych, szkolnych, koleżeńskich znajdował w nim zawsze chętnego, pospiesznego, łapczywego kronikarza. Źretnicami poety i muzyka ogarniał różne domeny życia, w każdej z nich śledząc osobną, ważką cząstkę sztuki życia, sztuki o zmiennych imionach i formach.

Księga diarystycznych zapisów Iwaszkiewicza ukazała się w trzech tomach. Księga pierwsza różni się wydatnie od następnych. Mamy tu do czytania z całością o rozległych widnokręgach czasowych.

Księga rozpięta jest między dwoma słupami czasu: między rokiem 1911 a 1955. Musi być zatem niejednorodna, mało spójna, scalona z wielu kajętów, uformowana wieloma duktami pisma, wypełniona przez różne odmiany atramentu.

Mamy tu najpierw obrazy wczesnej młodości. Chodzi o swoisty wstęp do życia i twórczej biografii. I śledzimy niebawem różne drogi wiodące ku starości. Badamy inicjalne doznania, przeczucia, rozdziały. Bardzo wczesnie oswaja śmierć ten, kto był wiarogodnym świadkiem śmierci tylu domów i ludzi. Bardzo wczesnie wita starość ten, kto przeczy jej całą energią swej młodzieńczej istoty. Bardzo rychło prowadzi dialog ze śmiercią ten, kto czekał na nią tak długo. Kto stawał się dla śmierci przekornym i nieustępliwym rozmówcą. Kto buntował się daremnie przeciwko śmierci i podstępnie z nią paktował w rozlicznych wierszach i prozach.

Dziwna to księga, w której barwy młodości mieszają się z kolorami gorzkiej, cierpkiej, dojrzałej samowiedzy. Księga, w której rytmy życia indywidualnego tak mocno splątane są z gwałtownymi, najbardziej tragicznymi i – jak można było sądzić – niezmiennymi wyrokami zbrodniczej historii. Czytelniczy Iwaszkiewiczowski dziennikarstwo winni przeto pamiętać o wielkiej metamorfozie dziejowej, jaka dokonała się u kresu minionego stulecia. Muszą nadto uplasować słowa Iwaszkiewicza w innym układzie znaczeń niż ten, w jakim zdania swe zapisywał autor *Sławy i chwaly*.

To, co kiedyś wydawało się Atlantydą, co skazane było pozornie na brak dalszych ciągów, co trwać mogło jedynie w Iwaszkiewiczowskim „oku pamięci”, nadal czynnym dzięki powrotnej *Godzinie myśli*, co mieszkało poniekąd w tym dziwnym organie, bezcennym dla rzeczownika tylu elegii, pożegnań, epitafiów, stało się przecież inaczej widome, dostępne w świetle jawy, uchwytnie w obszarze realnych powrotów.

Możemy dziś, jeśli trawi nas takie pragnienie, chodzić ścieżką wokół stawu w Tymoszwówce. Elizawetgrad nie jest już miasteczkiem z *Tysiąca i jednej nocy*. Rzymski „Grand Hotel de Russie”, gdzie krążą drogie nam cienie Karola Szymanowskiego i Natalii Dawydow, nie straszy jedynie widmami, znowu słychać w nim dźwięki mowy rosyjskiej. Nie są to zapewne frazy z *Eugeniusza Oniegina* ani okrzyki z *Wiosennych wód* Iwana Turgeniewa, lecz przecież wydają się zgodne z aurą starego hotelu przy via del Babuino.

W ogrodzie pomarańczowym obok kościoła świętej Sabiny, pod koronami wielkich pinii, tam gdzie Edgar Szyller spotyka Ariadnę w towarzystwie Janusza Myszyńskiego, Iwaszkiewicz mógłby również słuchać dźwięków języka, o których pisał w *Sławie i chwale*, w opowiadaniu *Voci di Roma*. Samotne groby na cmentarzu za piramidą Cestiusza nie są już samotne. Może

skarga dawnej niani została wysłuchana przez człowieka w bieli, przez sło-
wiańskiego papieża? I dokonało się to nagle duchowe ocalenie – po dekadach
tak wielu cierpień, złudzeń, rozczarowań, daremnych nadziei?

Musimy pamiętać o tej wielkiej przemianie. Musimy rozpoznać realne
i duchowe różnice między sytuacją poznawczą autora dziennika a sytuacją
naszą – w chwili, gdy wplątani będziemy w lekturę Iwaszkiewiczowskiego
dzieła. Obdarowani wiedzą dziejową, jaką nie mógł rozporządzać autor
dziennika, winniśmy stale z niej korzystać, gdy będziemy sekundować róż-
nym planom czasowym w zapiskach autora *Sławy i chwały*.

Księgę otwiera siedemnastoletni uczeń gimnazjum, zapewniając nas, że
znacznie wcześniej podejmował diarystyczne próby i ćwiczenia, nie całkiem
świadom, że tworzy prolegomena do przyszłego autowizerunku. Że groma-
dzi materiały do portretu artysty z czasów młodości.

Kosztowne, bezcenne to świadectwo dla kogoś, kto zechce badać okres
młodości Iwaszkiewicza, a więc śledzić subtelne powiązania między jego
ukraińskimi i polskimi korzeniami. Kto zechce łączyć proustowskie strony
poety: stronę Kijowa, Elizawetgradu, Tymoszwówki – ze stronami Warszawy,
Łowicza, Arkadii, Byszew i Sandomierza.

Czytając zapiski Iwaszkiewicza, okrążeni jesteśmy przez swoisty matecz-
nik tematów, motywów, idei. Błądzimy pośród bogatej materii, która śmiało
odslania swe analogie, żąda nowych odniesień, czeka na celne pytania i hipo-
tezy badawcze. Historyk literatury osnuje wiele studiów, przyczynków, głos
wokół tego diariusza, korzystając z kluczy, jakie zagubił w nim poeta, kluczy
do osobnej, suwerennej krainy swego pisarstwa.

Dziennik Iwaszkiewicza jest dziełem monumentalnym, choć składniki
tej budowli dość kapryśnie rozrzucone są w czasie, a nadto kłóć się z cnotą
regularności i solenności pisarskiej.

Wielkie obszary milczenia zalegają tu między innymi przestrzeniami,
bardziej skrupulatnie potraktowanymi przez pióro, ołówek czy długopis
diarysty. Choć każda epoka życia pozostawiła swój ślad w dzienniku, choć
znalazła w nim wyraz fragmentaryczny, trzeba stwierdzić, że epoki owe nie
zostały potraktowane w sposób równomierny i sprawiedliwy. Że – zwłaszcza
w inicjalnych i końcowych partiach dziennika – wyłoniły się jakby wyspy
życia, kontynenty czasu o szczególnie rozległych i pojemnych konturach.

Ledwo zatem zdążymy oswoić się z wyznaniem ucznia, ledwo przy-
wyknjemy do jego pospiesznych, gwałtownych notatek, do zdań zadysza-
nych, bezgranicznie impulsywnych, szczerych, skłonnych do ekshibicjonizmu
i zarazem pełnych różnych póż, kostiumów, masek – w których lubuje się
zresztą każda młodość ambitna, suwerenna, na wiele wpływów narażona
– ledwo rozpoznamy kontury młodych cierpień, zapamiętamy smak wczes-
nego szczęścia, ledwo zamieszkamy w tym prowizorycznym państwie mło-
dości, gdzie wszelkie wybory są możliwe, gdzie bieg życia może skierować

nas w odmienne strony, gdzie jednocześnie uwodzi pióro albo słowo i gest aktora, gdzie wahać się można między powołaniem pisarza a zadaniami muzyka, gdzie... – już obróciły się karty wielkiej księgi. I ukazał się ktoś, kto – poza kulisami diariusza – wyłonił się tymczasem z dawnej poczwarki, narodził się w sposób wyrazisty, wiarogodny dzięki świadectwom literackim, o których stanowczo musimy pamiętać.

Epokę sprzed I wojny pożegnał młody, dwudziestoletni człowiek zaledwie paroma chaotycznymi kartkami z lata 1914 roku. Mówią one o zamęcie, o przecuciach wielkiej metamorfozy. Właściwe pożegnanie tego czasu, a także czasu wojny i rewolucji, dokonało się znacznie później, w roku 1921, kiedy to dawny student uniwersytetu kijowskiego był już mieszkańcem Warszawy, obywatelem odrodzonej Polski, coraz bardziej znanym literatem, gwiazdą – według późniejszego terminu Czesława Miłosza – „pięknej plejady” poetów minionego wieku. W tym właśnie czasie autor *Oktostychów* i *Dionizji* przystąpił do szkicowania autobiografii i opracował jej wyraziste fragmenty.

Młody artysta stanął więc przed ciężkimi, szczelnymi bramami czasu. Formy życia, do jakich nawykł, unicestwione zostały w pożodze rewolucji. Młodość zatraciła się w obszarze dziejowej i społecznej Atlantydy. Aby zyskać szansę powrotu do zagubionych źródeł, mógł zawierzyć tylko sztuce. Dzięki niej znaleźć mógł właściwe, jedyne wehikuly, niezależne od granic czasu i zwycięskie wobec kordonów określonych przez nowe porządki lub raczej przez nowe chaosy dziejowe.

Gromadząc prolegomena do autobiografii, kreśląc portrety osób i obrazy sytuacji bliższe notatkom pamiętnikarza niż zapiskom diarysty, młody twórca zachowuje się jak bogacz po raz pierwszy świadomy skali własnego bogactwa. Bada więc ukryte kapitały, rozważa ich składniki. Roztrząsa związane z nimi możliwości. Delektuje się spiętrzonymi monetami, zanim przyjdzie mu nimi obracać w splątanych procesach twórczości literackiej.

Będzie przez całe życie sięgał do tych nieogarniętych Sezamów. Będzie je mnożył w światłach poetyckiego i prozatorskiego oglądu. Czytając autobiograficzne zapiski Iwaszkiewicza, śledzimy bez przerwy projekty dzieł, hojnie rozrzucone między oszczędnymi akapitami.

Są tu obecne wszystkie cechy, elementy, drobiny krajobrazu, szczegóły pogód ukraińskich. Pulsują wszelkie zachwyty, z jakich uformowane zostanie dzieło Iwaszkiewicza – na wielu piętrach jego życia i twórczości.

Jak na podręcznej palecie zebrane tu zostały barwy dawnej Ukrainy. Skupiły się doznania, pierwiastki, stany, temperatury, odczucia ukraińskiego dzieciństwa i ukraińskiej młodości. Trudna miłość, wieloma węzłami splątana ze śmiercią, odsłoniła się tutaj jako dojrzały owoc Iwaszkiewiczowskich doświadczeń. Owoce gotowy znaleźć się w przyszłym, świątecznym rejestrze „wszystkich owoców świata”, tak zachłannie admiirowanych przez autora *Mapy pogody*.

Dzięki autobiograficznym stronicom Iwaszkiewicza gościmy poniekąd na innych, widziadlanych kartach. Jedne zostaną rychło zapisane. Inne wynurzą się dopiero w dniach późnej Iwaszkiewiczowskiej starości. Wyłonią się jako świadectwa „dalszych ciągów”, gorzkie „próby całości”, jako ostateczne porachunki z istotą nadziei i niewiary, z energią zachwytu i siłą rozpaczy.

Jest rzeczą przejmującą, gdy inicjałom istnienia towarzyszą litery swoiście testamentalne. Kiedy mieszają się plany czasów, kiedy marzenia starości tłoczą się w młodych krwiobiegach, a między wersami wczesnych notatek Iwaszkiewicza – jak na łąkach elizejskich – krążą bohaterowie powieści *Księżyc wschodzi* i opowiadania *Voci di Roma*, i figury ze *Sławy i chwały*, i cienie z *Ogrodów*, *Zarudzia*, ze *Snów* i *Sérénité*.

Epoka między dwiema wojnami światowymi nie znalazła bezpośredniego odbicia w dzienniku Iwaszkiewicza. Dzięki notatce z lat po II wojnie dowiadujemy się zresztą, że w okresie dwudziestolecia poeta pisał dziennik, lecz zeszyty owe spłonęły jako ofiara działań wojennych w Warszawie. Potem składa Iwaszkiewicz wyznanie o dość wątpliwym, ryzykownym charakterze. Wyjaśnia, że nie pisał tych dzienników, że wcale się nie spaliły. Że to wyznanie złożył gwoli ironicznego, groteskowego udziału w powszechnej, dookolnej aurze skargi, ofiary, daremnej zatruty.

Milczenie diarysty przerwane zostało dopiero u kresu dwudziestolecia, kiedy to biegly przezierca stanów finalnych, świadek zmierzchów dziejowych, analityk wielu agonii w życiu jednostek i zbiorowości począł rejestrować różne symptomy końca, objawy rozpadu, zamętu, rozpaczy, widziane głównie z perspektywy swoiście prywatnej, wolnej od zewnętrznych uroszczeń i złudzeń, z perspektywy Stawiska, Podkowy Leśnej, Brwinowa i okolic.

Odyseja wrześnieowa kieruje Annę i Jarosława w stronę Repek na Podlasiu, ku dworowi Doria Dernałowiczów. Czytelnicy *Sławy i chwały* znają ten dwór jako Puste Łąki. Ewelina Royska, właścicielka powieściowego dworu, stała się – w zgodzie z wolą autora – tragarzem najbardziej mrocznego ciężaru, jakim może być obarczona kobieta, która przeżyła śmierć swoich dzieci, utraciła wszystkie domy, wszelkie świadectwa trudnego życia, pozostała z pustymi rękami, bez fotografii poległych, ze strzępem tkaniny, jedyną resztką dawnego, ukraińskiego bytu, dotykającą cząstką zatraconego domu.

Historia tej odysei wrześnieowej państwa Iwaszkiewiczów wpisana została między wersy powieści Zofii Żurakowskiej pt. *Fetysz*. Z braku papieru Iwaszkiewicz odwrócił książkę, by dwie narracje nie kłóciły się z sobą, nie splatały, nie przenikały.

Odyseja wrześnieowa rychło zamknęła swe magiczne koło. Dopełniła je w punkcie wyjścia. Bezradnemu wędrowcowi przyniosła wielki dar. Powtórnie, po jedenastu latach, obdarzyła go Stawiskiem, a jego samego przywróciła domowi. Na wiele trudnych epok, w sposób ostateczny dokonał się wybór domu – wehikułu. Z ulgą i miłością wszedł Iwaszkiewicz na pokład tej Arki,

łącząc myśl o zwykłym domu z myślą o domu własnej twórczości. W obu ujrzał dwoistą Arkę – czyli dostrzegł szansę ocalenia ponad wodami różnych potopów.

Dom! – pisał Jarosław Iwaszkiewicz 11 października 1939 roku. – Przez tyle dni jechaliśmy tutaj z uczuciem żalu, żeśmy go opuścili choć na parę dni. Stoi, taki sam, za duży, brzydki; „La maison – nie une maison”, jak mawia Bolek Miciński. Mimo (dużej) ilości Niemców, wydaje się pusty bez dzieci. [...] Kiedy to piszę na górze, na poddaszu, jest późny wieczór. Wyglądam przez okno i widzę wierzchołki dębów i brzoź, tak niedaleko – tuż. Liście wcześniej pozółkły w tym roku. Przed domem przechadza się warta niemiecka, ale tu, pod samym tym dachem, czuję się dobrze, prawie bezpiecznie. Oby tylko przetrwać. Dom wygląda we mgle jesiennej jak okręt, wiatr dmie po strychu obok. Jackowski przyniósł nam wczoraj wspaniałego kota, który mruczy na moim łóżku – a dom w tej ciemności, we mgle, w wicherach wygląda, jakby płynął w nieznaną noc. Płyń, płyń. *Fluctuat nec mergitur*. Boże, wytrzymać to wszystko².

Pytania o kształt, o estetyczny i moralny sens działań diarysty ponawiają się wiele razy w zapiskach Iwaszkiewicza. Trzeba je tu powtórzyć, a także postawić inne, polemiczne wobec nich pytania i sądy.

Dziennikowi Jarosława Iwaszkiewicza sekundują zatem glosy o tymże dzienniku. Towarzyszą mu wątpliwości i wahania. Znaleźć tu można swoiste definicje dziennika, uwagi o konfesyjnych ambicjach autora, myśli o usytuowaniu własnego dzieła – wobec innych dzieł diarystycznych.

Nie chodzi o rodzime wzorce. Wiele razy pisarz odwołuje się – na przykład – do dziennika autora *Falszerzy*, określając własne diarystyczne obowiązki. Czytając dziennik francuskiego pisarza, Iwaszkiewicz bada architekturę własnego życia. Deliberuje o jej proporcjach, skazach, ułomnościach, ograniczeniach.

Dziennik André Gide’a odstręcza go zresztą, odpycha – jako wyraz płonnej wirtuozerii, demonstracja tryumfalnego i dufnego egotyzmu twórczego.

Ale to taka dziwna lektura – wyznaje Iwaszkiewicz 18 sierpnia 1939 roku – straszno mi trochę, że ja wzięłem się do takiej pisaniny, nikomu niepotrzebnej. I jeszcze co innego jest we Francji, kiedy Gide, stojący na szczycie wstępujących aniołów, może się bawić w sądzenie kultury europejskiej, które jest nieco bezpłodne. Ale ja? Zagrzebany zupełnie wśród kamieni i rumowisk, które lada chwila mogą się stać rumowiskiem w dosłownym znaczeniu, cóż znaczy moja minimalna zresztą „kultura” w pierwotnym, barbarzyńskim społeczeństwie, które właściwie winno pielęgnować w sobie to barbarzyństwo, aby się ostać, aby hodować jednocześnie siłę. Kultura, a zwłaszcza jej sądzenie, jest jakby ostatnim momentem przed więdnieniem. W naszym społeczeństwie tylko ja więdnę – reszta jest jeszcze daleka od tego procesu – i dlatego jestem taki obcy wszystkim i taki właściwie niepotrzebny. Gdyby przyszła wojna – zginę ostatecznie, zmażą mnie z tablicy i po wszystkim³.

² J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, t. 1, Warszawa 2010.

³ Ibidem.

Autor diariusza z pewnością studiował dzienniki Lwa Tołstoja, uważnie badając temperaturę zdań tołstojowskich, wążąc tragiczną ufność rosyjskiego pisarza w siłę i ciężar każdego słowa. Twórca *Pasji błędmierskich* musiał czujnie stronić w swoim dzienniku od inkwizytorskich pasji mieszkańca Jasnej Polany. Pragnął wystrzegać się gwałtownych burz i zakłóceń, szukając stref ładu, harmonii, światłocieni o wewnętrznym, ukrytym rygorze.

Dziennik Iwaszkiewicza jest diariuszem poety. Wśród innych dzienników zaleca się szczególnie, osobną tonacją, jaką bez trudu rozpoznać można w każdym diarystycznym akapicie autora *Podróży do Włoch*.

O jedności działań pisarza, ludzkich i artystycznych, decyduje także jego sprzeciw wobec pewnej tezy Norwida. Iwaszkiewicz nie sądzi, że poetą się tylko bywa. Czyni wiarogodnym pewnik, że poetą jest się w każdej chwili swego bytu, w tryumfie wobec krnąbrnych słów, w rozpachy wobec ich całkowitej daremności. Iwaszkiewicz ufa, że ludzie o tajemnej dystynkcji duchowej noszą w sobie bezcenną gotowość do poezjotwórczego continuum. Nie chodzi jedynie o poetów jako konstruktorów wierszy i poematów. Chodzi raczej o wieloimienną, widomą predestynację. Sekunduje ona – jak w rozdziale *Poeci z Książki moich wspomnień* – również tym, którzy nie napisali żadnego wiersza. Nie ułożyli ani jednej strofy, w innym tworzywie realizując swe możliwości poezjotwórcze.

Jarosław Iwaszkiewicz, poeta absolutny, był nim nie tylko we wszystkich odmianach liryki, we wszelkich formach prozy czy dramatu, w obszarach epiki, w kameralnych przestrzeniach opowiadań, w eseju, gawędzie, w komentarzu krytycznym, w lapidarnej glosie, w doraźnym editoriale. Był także poetą we własnym diariuszu, poezję dziennika łącząc z poezją życia, kształtując ją bez przerwy.

Co jest elementarnym, ciągłym „tematem” dzieła poetyckiego? Co musi być również motywem głównym dziennika poety? Jeśli zaufać na wpół żartobliwej formule, uzgodnionej przez Juliana Przybosa i Artura Sandauera, tematem owym okaże się zawsze pogoda, pojmowana jako pretekst o coraz szerszych kręgach znaczeniowych.

Od pogody wewnętrznej, pogody ciała i ducha, przechodzimy bowiem do pogody zewnętrznej. Do pogody pokoju, domu, ogrodu, podwórka. Do pogody ojczyzny najbliższej, dookolnej. I do pogody ojczyzny – jako zbiorowego obowiązku. Oddalając się od tej przestrzeni, mówimy o pogodzie Europy i pogodzie świata. Kiedy nie zaprzątamy sobie uwagi pogodą dnia, a przyciąga nas pogoda nocy, instalujemy się między zbiorami gwiazd, nadając swej myśli charakter i zakres kosmiczny.

Dziennik poety niesie mnogie informacje o takich odmianach pogody. Zapiski na marginesie dni mówią o pogodzie wszystkich pór roku. Nie dziwi nas, że twórca *Mapy pogody* tak ufnie powierza się mądrości kalendarza, szanuje jego kapryśne dary. Ze opowiada o pogodzie zmiennych chwil. Nie

stroni od epizodów słonecznych i minut ciemnych, pełnych zamętu i rozpacz. Jak z płócien Maksymiliana Gierymskiego, niemal z każdej notatki Iwaszkiewicza dowiadujemy się, która jest godzina. Podziwiamy upór, z jakim autor dziennika odwołuje się do tej wiedzy.

Diarysta pogód zewnętrznych, kronikarz obłoków, rejestrator lśnień na kwiatach i liściach, apologeta dojrzałych owoców, subtelny przezierca skóry świata, nieustępliwy w mnożeniu własnych odkryć zmysłowych, w porządkowaniu rewelacji oka, w gromadzeniu darów pamięci plastycznej, Iwaszkiewicz staje się bez reszty poetą-diarystą, więc notariuszem stanów przelotnych, monografistą godzin kulminacyjnych, nostalgicznym twórcą elegii na cześć pogód dawnych, pośród których pali się ciągle słońce minionego czasu – w spojrzeniu artysty, pełnym miłości i zachwytu.

Dziennik Iwaszkiewicza jest także nieprzerwanym ciągiem glos o pogodzie i smutku przedmiotów. O zamkniętym w nich świetle i mroku. Iwaszkiewicz opowiada o zmiennych obrotach rzeczy – wśród zmiennego czasu i przelotnych ludzi. Czy nie dowiódł, że los człowieka jest zaledwie drobiną w losie rzeczy? Gadatliwą obecnością w środku obecności niemej i rzetelnie wielomównej?

Rysując potoczne kontury rzeczy, ukazywał wewnętrzne piękno przedmiotów. Obnażał ich metafizyczny zakres i sens, uchwytny dla poety, który widzi rzeczy jako bramy i okna prowadzące do niewidzialnego światła i nieogarniętej prawdy. Czy sztuka takiego widzenia nie stała się u Iwaszkiewicza – nader wcześniej – sztuką widzenia niewidzialnego Boga?

W dzienniku stawia więc pytania, jakie winny być wyostrzone przez obiektywnych egzegetów jego dzieła. Czy autor *Matki Joanny od Aniołów* nie był w literaturze polskiej najśmielszym egzekutorem doświadczenia religijnego? Nie był najwybitniejszym pisarzem chrześcijańskim swojej epoki?

Umiał zaklinać mnogie, rozproszone krople czasu, atomy płynnego i szybko nicestwiejącego tworzywa. Potrafił ocalać je w taki sposób, by ukazały swą ostateczną prawdę i swe wewnętrzne piękno. Rzeczy były dla niego literami pisma – w ogromnym, strasznym, przerażającym tekście świata materialnego, więc w obszarze szczelnych zasłon, kurtyn, nieprzenikliwych ścian, metafizycznych murów, jakie daremnie chcemy rozedrzeć, pokonać, zburzyć – dzięki aktom poznawczej odwagi i woli.

Czy kształtując dziennik, wiele mówiąc o jego naturze, Jarosław Iwaszkiewicz osiągał coraz jaśniejszą samowiedzę własnego pisarstwa diarystycznego? Zdają się o niej świadczyć uwagi, życzenia, trzeźwe sądy, rozsiane w tekście. Sprawca wielkiego dziennika żywi pretensje wobec swej poezjotwórczej kondycji. Odsłania ograniczenia własnej postawy. Świadom skaz organicznie związanych ze statusem poety, pragnie zmienić charakter dziennika.

Wiele zdań diarystycznych Iwaszkiewicza kryje w sobie urodę pięknej frazy muzycznej. Niesie wdzięk, mądrość i pełnię czegoś zamkniętego,

skończonego, osobnego, jak wiersz, preludium fortepianowe, rzadka muszla, dojrzały owoc, jak przydrożny kamyk, odwiecznie naturalny i zarazem odświętny, wolny od wszelkich porządków, dzięki którym przedmioty mogą być uchwycone.

Świadom ryzykownej wolności, z jakiej korzystał, Iwaszkiewicz chce przekroczyć granice związane z „poezjotwórczymi” walorami swego dziennika. Ten bowiem, kogo przyciągały obrazy ziemi, kto w miniaturowym fiołku umiał dostrzec najpiękniejszą katedrę świata, brał zarazem intensywny udział w obrotach życia otwartego, uczestniczył we wszystkich jego kulturalnych, politycznych odmianach i formach.

Indeks nazwisk sekundujący Iwaszkiewiczowskiemu dziełu okaże się więc niezwykle bogatym zbiorem osób, dzięki którym ukształtowało się i nieprzerwanie pomnażało człowieczeństwo artysty. Można patrzeć na ten indeks w taki sposób, jakby pisarz podejmował świadomy trud zgromadzenia wspaniałej kolekcji człowieczej. Jakby stawał się uważnym i zachłannym ciułaczem. Dzięki uściskom tysięcy dłoni uwierzytelniał swą szczególną predestynację w sztuce przyjaźni. Utwierdzał ją w obszarze Europy i świata. Doskonalił w tyłu próbach dialogu, porozumienia, sojuszu z ludźmi o różnych miarach wiedzy i doświadczenia. Przyjaźnił się z artystami różnych epok. Rozmawiał – w wielu językach – z rzecznikami mądrości, sztuki, władzy. Dzielił się uśmiechem serdecznej uwagi z ludźmi o słynnych i mniej znanych nazwiskach. Doprawdy, autor *Sławy i chwały* – jak mało kto – znał chłopskie izby i królewskie komnaty. Potrafił godzić dawne formy życia z nowymi koniecznościami i warunkami. Umiał opowiadać o tej zgodzie w swoim dzienniku.

Ile wierszy dedykowano Annie i Jarosławowi Iwaszkiewiczom. Ile strof osnuto wokół pejzażu Stawiska. Ile kosztownych trofeów przyjaźni, literackich i muzycznych znaków szacunku, podziwu, wierności zebrał autor *Mapy pogody*. Nie mówi o nich autor dziennika, szczególnie dyskretny i po wielkopańsku powściągliwy w demonstrowaniu swoich skarbów. My jednak pamiętamy o nich, czytając dziennik Iwaszkiewicza. Umiemy się nimi cieszyć, przywołując odpowiednie słowa i takty. Pisał Juliusz Krzyżewski w dedykowanych Jarosławowi Iwaszkiewiczowi *Wariacjach księżycowych*:

Lubię wysokich twoich okien
Spojrzenie czyste i głębokie,
Jak perspektywa drogi, którą
Od kolumn ganku poprzez lipy
Nasze zrównane kroki skrzypią
Aż pod skraj lasu, gdzie się urwą,
By w cichym mchu i w liści chrzęście
Zrównoważone dalej wieść się
W zielonych świerków cieniu niskim